



MARTA PODGÓRNIK

---

# Próby negocjacji

MARTA PODGÓRNIK

## Próby negocjacji

### prequel

O stu tysiącach Alej Piłsudskiego, rwących pod oknem, gdy budzi mnie w Hotelu dzwonek. Że nie znam źródeł ni prawideł gry, do której ani nie zapraszam. Wiem wiele, jak na swoje 36 lat.

Psikus światła w odłamkach szyb, w drodze na gorzką impresję z finałem, co nie smakuje za razem. Potrzeba dokonań, nim się stanie przedmiotem. Zdrowo pokręciło! Pito *zdrowie* i zgodnie

paliliśmy mocne i cukierki jadłam garściami. Dziwne odrętwienie. Nadciągają pociągi z Częstochowy i Białegostoku, z Opoła, Poznania. Zetony C i odrębne unie biletowe. *Esoes* z wywczasów:

wartcy, względni i zgodni! Ubezpieczaj mnie, po południu wpadaj zamknąć pocałunkiem usta. W ciemno. Nic właśnie się zdarza. Zuch dziewczyna! Chyba się porzygam. Stoję jak reklama *O czym*

*piszesz* pod neonem Dworzec Łódź Fabryczna. Martwieją opuszki planów. Mam jeszcze 17 lat i jestem, nie wiem jak napisać

7 grudnia 1996

### plodne dni

W takie dni już tylko herbata liptona nad tomikami bohdana zadury, albo poprawianie dykcji przed brązowym lustrem.

na przystanku smarkanie wprost do kosza z przytrzymaniem jednej dziurki,  
i po czesku odwracanie numerów autobusów  
i tak jadących w jedno i to samo miejsce.

już tylko umywanie rąk od wszystkich ważnych i nieważnych, od przegranych naszych bitew, od zaraz. mimowolne przelykanie umykającego spod podeszw kurzu, latarniane puszczanie oczek w rajstopach kabaretkach.

nazywają to szerokim układem odniesienia,  
jeśli to coś mówi komukolwiek.

w takie dni już tylko do skupu butelek,  
po więcej pustki, po więcej.

## *szerokie spektrum*

wydarza się i czujemy się w obowiązku udawać,  
że nie u nas. to — nie wiedzieć czemu nie nazywane  
po imieniu, postępujące jak wada wzroku i nie do  
przerwania jak nieustająca nowenna, w czasie której  
wyjście z kościoła jest nie tylko profanacją, jest  
towarzyskim samobójstwem.

coś jak odwieczny dylemat wykreślenia z notesu  
aktualnych numerów do nieaktualnych przyjaciół.  
i bez tego mamy sporo w zanadru, ale nie tyle,  
by czuć się zbyt pewnie.

chłopcy idą na własną wycieczkę, smutne dziewczęta  
w pobliskim barze. wszyscy grają w gry. to właśnie  
jest szerokie spektrum.

zadziwiająco, że kolejny raz udało się powrócić cało  
z czarnej dziury.

## *bez możliwości ruchu w tę czy we w tę*

głód nie daje wyboru. odczytane z trudem hieroglify  
płam nie drażnią już niewiadomym pochodzeniem. czas  
znajduje kupca na brudne ubrania, jak zwykle gotowego  
zapłacić ciut więcej za to, co pod spodem.

nie spodziewał się blizny. rozpoznanie sprowadza  
odmowę bez prób negocjacji. to są falstarty zamierzone,  
potknięcia dopuszczalne. prawdziwe niebezpieczeństwo  
dopiero ma nadejść.

chwilowo cisza przed burzą jak w kościele po mszy,  
kiedy zostaje tam tylko tysiąc jeden drobiazgów  
zgubionych przez wiernych. front jak zwykle przesuwają  
się, nim zdążasz go zmienić.

## *prognoza optymistyczna*

duszny spokój pensjonatu obumarłego na czas  
płażowego szczytu. siedzieć i patrzeć w wyłączony

czarno-biały telewizor, pukając w czoło i w ścianę,  
zza której dobiegają jęki.

już jutro stąd wyjechać — wsiąść do pociągu i się  
wdziąć lub udać zaczytanie w oczach i gazetach,  
z mądrą miną kogoś, kto wie dużo więcej.

albo wytrwać, karmiąc się prognozą zasłyszaną w radiu:  
„przyszły tydzień przyniesie spodziewane zmiany”.  
że też to zawsze musi przytrafić się latem, kiedy  
powinno się tylko na piwo pod parasole, gdzie jego

smak po raz pierwszy nie różni się od żadnego innego  
smaku, upalne popołudnie przyjemnie bez perspektyw  
jak wizja ucieczki z czeskim wesołym miasteczkiem.  
na złość wszystkim przemaka się na swoim leżaczku  
do suchej nitki, nikogo to jednak nie porusza.

## *asymetria*

prawa strona mojego ciała, czująca się lepiej  
niż lewa, przesyła pozdrowienia:

słońce operuje z precyzją chirurga usuwając błąd,  
opornych opala do cna jak amator cudzych papierosów.  
i po takie przychodzi nam przecież sięgać w pociągach  
ekspresowych, gdy wyskoczenie po paczkę cameli light  
w czasie dwunastosekundowego postoju na stacji  
pionki zachodnie byłoby karygodną krótkowzrocznością.

coś w tym mimo wszystko musi być, jeśli wszyscy się na to  
łapią, biorą na ten lep. więc skoro już wsadzono nas do  
tego pociągu z życzeniami przyjemnej podróży, spędźmy ją  
na korytarzu, koniecznie w przeciagu, trącani brzuchami  
i walizami przechodzących.

ktoś to starannie z góry zaplanował i wszczepił nam  
mikronadajniki wielkości tabletek aviomarin. nie mógł jednak  
przewidzieć objawów ubocznych, naszego nie wpisanego w kosztorys  
kaprysu, by wyjść i nie wrócić już w to samo miejsce.

asymetria dążeń i spełnień cechuje nas w równym stopniu  
co przepocona pod pachami koszulka god save the queen  
sex pistols.

niepokojąco, tendencja utrzymuje się. i pogłębia.

## *abstynencja*

więc jeśli złapałeś silny wiatr w żagle,  
to już nie przelewki. wiesz rozumiesz — te  
zbyt szybkie piłki bywają zabójcze.  
z dwóch ewentualności, chcąc pożyć dłużej,

wybiera się nudną.  
inaczej wartościować nie sposób.

oczywiście zrobisz to po swojemu, na cienkiej  
granicy farta, lekceważąc wciąż nasilające się  
objawy. wypracujesz żelazne alibi na czas  
planowanej puenty doskonałej.  
jedyne, co ci grozi, to śmierć z odstawienia.

## *nawroty*

oblizać rdzę jak łyżeczkę wyciągniętą z głębi  
tortu, jak spierzchnięte wargi na przystanku.  
wychodzę, wołam autobus, nadsłuchuję odpowiedzi.  
jak zawsze bezskutecznie. teraz to on mnie woła.

przyśpieszać jak tempo w finale, kiedy tuż tuż  
trzeba się zwijać. dzwonek do drzwi, udawanie, że  
nas nie ma. złowrogi szcęk zamka, szybki odwrót,  
jak nawrót choroby znowu przystanek. po powrocie

gryźć pościel jak mysz kabel, wysączając nadmiar  
śliny kącikami ust. na pragnienie zardzewiały  
kran, z wiszącą jedną kroplą szarego śluzu. nie  
ma wyboru. zlizana wilgoć rozcieńcza smak w ustach.

## *jazda?*

jazda bez trzymanki na imprezie albo tramwajem kończy  
się zwykle na czyichś kolanach. potem bąkanie cichego  
„przepraszam” z miną, jakby zamiast spodziewanego roweru  
górskiego na urodziny dostało się wpierdol.

zabójcze koktajle wódki z winem albo piątkowych zakupów  
z old spicem powodują identyczny odruch, zanim się nie  
oszołomi i nie przywyknie (przyzwyczajenie — podobno —  
jest drugą naturą).

następnego dnia wszystko idzie w zapomnienie, o ile  
tylko można było odespać i wziąć aspirynę. ale już  
dreszcze okazują się sygnałem niepokojącym.  
w tramwaju czy na imprezie łatwo złapać jakieś świństwo.

## *till the cops come knocking*

przecieranie ulubionych džinsów w kroku,  
jak przecieranie oczu po nocy z osobą,  
której się nie lubi. pozostaje cerowanie  
grubymi nićmi, naszywanie łat.

wcześniejszy czy później ktoś coś zauważy, ale  
teraz trzeba bez zbędnych pytań dostać się  
do domu, zrzucić corpus delicti, nago wleźć  
pod czyste prześcieradło, nienaruszone  
krytycznej nocy przez nikogo, przez nic.

pod zamknięte powieki wpuścić krwotok światła  
nie do zatamowania plastrami firanek, nie  
pozwalając na przyśnienie się nocy spokojnej,  
spędzonej samotnie.

budzik tyka jak mała bomba zegarowa, cofając  
wskazówki można opóźnić jej wybuch, ale tylko  
na tych parę godzin.  
zdalne sterowanie włącza się w pamięci.  
wybiera mtv.

## *bezkrwawe tony*

wilgotne plamki ołowiany krążek szklaneczka  
sherry słowa wylizanki:  
*narzędzie zbrodni na słoniowych nóżkach  
fastryga śmierci biegnie przez firanę  
słodką jest trutka wykładana gęsto  
pod drzwiami śpiących dziecinnych pokoi  
ścieg śliny dzieli pościel na krzyż  
i mylisz kwarty gdy myślę oktawy  
i nie ma sprawy bo chociaż nie patrzysz  
ktoś mimo to uważnie prowadzi ten pociąg  
i staje na boczniczy i zmienia mu rozkład*

## *(...) tylko dupki ukrywają słabość*

tylko dupki ukrywają słabość. ziarna nie sieją.  
fala podnosi się, topi ich. we śnie, kurewsko  
nie fair, zawodzą zawory bezpieczeństwa.

wartość ma tylko to, co właśnie tracisz. w co  
brniesz dalej. nie będziesz miał nic, co można by  
ukraść, zniszczyć, nic, czym można by zabić.

dasz sobie tyle czasu — stąd do tamtąd. ruszysz.  
w niemal każdą wiarygodną jutrzejszość. w tego  
boga uwierzysz, który tu, teraz, za ciebie.

i wyjdiesz z tego jak spod prysznica. nago,  
wyzwolony z formy, pusty w treść. poślizgniesz  
się na kafelkach, co się zdarza —

złamany ładniej będziesz wyglądał na zdjęciu. po  
zdjęciu z tego, powieszony na następnym, krzyż  
pęknie o kant sedesu.

## *spóźnienie*

spóźnienie pomimo budzika nastawionego na za dwie godziny pora wstawać. męki w kolejce po bilety, kupowane już tylko dla porządku. uprzejmość z okienka na drugie śniadanie, pierwsze przypadło

definitywnie, skończyło się na spiciu ostatnich kropel alkoholu z pozostawionych przez gości kieliszków. smak wywietrzył razem z procentami, odruch wymiotny jak krótki spazm minął żeby powrócić wkrótce,

naprawdę niedługo. głowa o dziwo nie boli, za to usta już pieką na konto nadchodzących usprawiedliwień. bezcelowych, skoro wszystko przypuszczalnie zostanie odnotowane w moich nagle pośliskłych papierach.

## *awaria*

czasem opłaca się, zamiast męczącego dnia, przedłużenie nocy, żaluzje na sztorc jak kosy chłopów z reprodukcji, czajnik na gazie, alka-prim w roli bułki na śniadanie.

rewizja nadzwyczajna. więc: wyłączyć huczący strumień wody w łazience, telewizor, radio, kupić gazetę z czarno-białą pigułką przekazu, wyrobić sobie pogląd, wyuczyć na pamięć.

nie zapomina się już o niczym, nie ma prawie nic godnego pamiętania. niedawne posunięcia wydają się odległe jak dzieciństwo. awaria na razie uszła uwadze znajomych. niech trwa.

## *plan b*

monitorowanie wnętrza kończy się kataklizmem pustki. zastępy skatalogowanych wloką się za zastępowymi, wybranymi odgórnie z tej masy. niezgodą na siebie nie można się przed tym

obronić. na ogół bunt mija po kilku dniach pielenia, spacerowania, zerwania liczników. obroza jest niewidoczna. odważni twierdzą, że nie istnieje. nikt jednak nie posunąłby

się do próby jej zerwania, bo niby po co. wygoda bezstresowego podejmowania jedynie słusznych decyzji kusi. wymiana instynktów na instrukcje odbywa się zgodnie z planem.

## hieny

hieny odeszły, tak jak przypuszczałeś — wszystkie naraz niczym wody płodowe, w najmniej oczekiwanym momencie. rozlały się chropowatościami chodnika, powciskały w bramy, zeszyły do szeroko pojętych

piwnic. opłaciło się poczekać, mówisz ogrzewając moją dłoń wewnątrz kieszeni, unikając łatwo wyciąganych wniosków. to ja upraszcam, lekko wychylając głowę za róg. już poszły, poszły —

uspokajam się i nie oglądając biegnę w stronę pobojuwiska. zostały tu te same resztki co zwykle, czyli dobrze, napelnimy się znów jak wtedy, pamiętasz? wtedy też zostawiły nam wnętrza.

## oddział

leżę tu i co chwila sięgam między uda. można od tego oszaleć. pościel się lepi do skóry jak nasączone klejem tapety do porowatych ścian.

te wszystkie wydzieliny — ślina na poduszce, ropa w kącikach oczu, czasem, rzadziej, krew. i słowa. to nie jest naturalne pisać wiersze, ktoś powiedział.

łazienka jak średniowieczna izba tortur. nos na kafelkach. maksymalne napięcie, przyznałabym się teraz do wszystkiego, kto chce posłuchać?

lekarz z niezapisaną historią choroby się wylania. za nim prowadzą moją kroplówkę, cewnik i talerz tabletek. żartują, że mocz jest treściwy po

mojej wczorajszej lekturze — „schizma” na szpitalnej szafce. jak ma się kurwa motywację, to się wszystko zniesie. ja nie mam kurwa motywacji.

wiem, że to oddział niedoszłych młodych samobójców, z których tylko paru naprawdę chciało umrzeć, nie rozróżniam ich jednak od reszty.



## *straże*

przy wejściu sprawdzali nadgarstki, więc  
rany pochowały się cieknąc do wewnątrz,  
wdech ukrył wypukłości; zamilkł poświst  
tchawicy, z trudem ukrywając chorobę, co

zatręła flegmą niewidoczny pod ubraniem  
żołądek. czytali i z oczu, więc poźółkle  
białka zbladły na zawołanie, pod nimi worki  
skóry puste po nieprzespanej nocy napęły

się ciepłą limfą. trzepot rzęs zagłuszył  
wytrwały bolesny stukot maszyny parowej  
poruszającej krew w sinych naczyniach.  
pająk sztucznego ciepła rozpełził się po

zdrętwiałych od dawna policzkach, wargi  
wydęły jak skrzela ogłuszonego na święta  
karpia. zapomnieli popatrzeć na ręce, a  
te drżały monotonnym drżeniem wiedząc,

że nie zdołają go ukryć. ostatnie ruchy  
rękawic w pustych przepaściach kieszeni  
i wreszcie wpuszczają do środka, gdzie  
nieświadomy niczego bóg śpi na ołtarzu.

## *sacrum bulimiczne*

palec w gardle bulimiczki ma moc bliską  
stworcy, odkąd ten notuje stały regres  
formy. liście gniją. ktoś podłożył bombę  
z opóźnieniem zapłonu wliczonym przezornie

w chaos przestępnego roku. miesięczka jak  
zwykle zwleka aż upragnione płamienie robi  
wstyd białej spódnicy niedzielnego nabożeństwa,  
świecą gromnice z odzysku (jeszcze wczoraj

żegnały) ale ciepła za cholere w nich jak w  
tobie. zapięcie zamka teraz już łatwe jak  
odciągnięcie zamka. żadnej czeczenia, zwłaszcza  
jeśli zrzuczone ubrania na coś się przydały,

nie będzie. teraz powiedz jak mnie kochasz, znów  
przegapimy ogłoszenia duszpasterskie i może czyjś  
typowy nekrolog z błędami stylistycznymi. odruchowo  
rozsunę nogi, wpychając palec wskazujący do gardła.

## *zastyszane*

no ile miałeś owacji na stojąco? mam na myśli:  
ile w tym tygodniu? rozbijasz się po knajpach  
nie płacąc rachunków, pijesz na umór, bierzesz w pysk —  
a co ty, kurwa, myślisz, że jesteś charles bukowski?  
a ile razy byłeś w pracy? nawet jej nie szukasz,  
myślisz pewnie, że poezja jakoś się wyżywi.  
poezja być może — ale spójrz na siebie — zarzygane  
spodnie, wymięta koszula. i kto ma to prac?  
a jeszcze ta gęba nie znająca mydła ni żyletki.  
i w takim stanie ty chcesz do historii?  
nawet telewizja ciebie nie chce.

## *uciekinier bez powodu*

sygnały niezdrowego zainteresowania docierają co jakiś  
czas, podobnie jak pocztówki z odległych miasteczek  
sygnowane beznamiętnym „do zobaczenia” przez kogoś,  
w kim można się było zakochać, tylko przegapiło się

okazję. pozostawanie w przyjaźni z niezliczoną  
ilością niedoszłych mężów i żon jak kolekcjonowanie  
kapsli z niemożliwością wygrania jeszcze czegoś ponad  
to, co już się otrzymało. a trzeba wkalkulować

mieszanie imion, rosnące rachunki telefoniczne,  
niespodziewane wizyty. konsekwencje drobnych kłamstw  
jak zimujący w kościach złośliwy nowotwór czekają na  
swoją chwilę. odłożona na bok jak zaległe listy słuchawka

jeszcze ciepła ciepłem policzka, traci miarowy puls sygnału.  
ostateczne rozwiązanie — rwiesz żyłę kabla strzępiąc opuszki  
palców, cieknąc ryglujesz drzwi, udajesz, że wyszedłeś  
i nie wiesz, kiedy wrócisz. po drugiej stronie światła gasną

z równą gwałtownością, chociaż nie wszędzie rozgrywa się  
dramat. długa zima osłabia czujność, wypycha z resorów,  
wymusza podjęcie ryzyka. kupisz pół litra, zmienisz adres na  
etykiecie, znikniesz cicho jak wywabiona wybielaczem plama.

## *list do marcina*

świat ruszył. znowu beze mnie. wmówiłam wszystkim,  
że jeszcze nie pora, choć czuję się znacznie lepiej.  
wracam. a powrót zajmuje coraz więcej czasu.

piślałam jakieś ważne listy, ale nie było komu ich  
przeczytać, jakieś wiersze. w sumie godzono się na  
nie jako część terapii, tak to teraz odbieram.

wychodzę po mleko, wracam z nim. nie mam pokus, nie jestem zmuszona niczego tłumić, niczego mówić. dziś po raz pierwszy nie wzięłam tabletek i nic, nic.

zasypiam tylko na wznak, ale częściej przebywam w łazience. nie palę światła i nie odkręcam kranu, wije sobie pajęczynę w rogu umywalki.

pomyślałam o tym właśnie wczoraj. była leniwa sobota, niesmaczny obiad, nudny odcinek. nie poszłam oglądać parady, odbytej mimo złej aury.

myślałam, żeby złapać sobie jakieś muchy, ale to klóci się z przejętą religią. pozostawiam sprawy w cudzych rękach. zobaczymy jak się tam ułożą.

wkłułam pod szarą skórę drobinki powietrza. moja krew teraz też ma czym oddychać. kaszel nie powraca, ból serca ustaje. rozkołysana, o tak — czekam na wiadomość.

## *literacki*

to jest poezja seryjna. a to obosieczna. zżółkły wrzód rozkrawam tym nożem trzymając za ostrze. w obie strony bryzga, jak z chuja? tym tam to nie przeszkadza. oni już tylko sobie sami. w tym rzecz, nie popuszczać. nieczęsto aż tak to widać, zwykle zmilczane przysycha jak strupek na łokciu. gesty robią swoje. cudze drażnią jak gdyby brak tolerancji nie był do opanowania. gąbka rozpręża spęczniałe ciało, z wierzchu zostaje osad mydlin, zapach wody. tę wodę trzeba teraz lać.

## *graffiti*

mógłby to być kolejny taki wiersz: idziesz gdzieś, zostawiając za sobą to spalone miasto, chociaż tak naprawdę tylko ty jesteś w nim spalony. linie wysokiego napięcia między nami nie przerwane. piiiii telegrafu.

„kto nie czyta poezji ma wjebane”. graffiti na murze operetki wywołuje w ciemniach twarzy uśmiechy jak zdjęcia. (nikt się nie podpisał, ze wszystkich znaczeń pozostaje więc tylko to najmniej dosłowne). kiedy po

ośmiu kolejne piwa przestają się liczyć, idea powraca czkawką pijackiej deklaracji: kto nie czyta poezji itd. (tylko że rano nikt już nie będzie pamiętał). kolejna knajpa w której jesteś jak list — bezpowrotnie spalony.

## wiersz dla maćka meleckiego

pięć w kamień. ptaki fruną szybko jak z klatek  
filmu grozy. park jest już zielony, włosy białe,  
krew jak zwykle. natrętna myśl o tym zabija każdą  
inną, która pewnie dałaby czemuś początek.

nagle konieczność wzięcia zakrętu stawia w martwym  
punkcie. zatrzesienie równorzędnych alternatyw  
wobec którego można jedynie spasować. wybieranie  
nie jest niczyją mocną stroną, przeciwnie.

światło w tunelu okazuje się ogniskiem stworzonym  
na bazie porzuconej butelki, z której mógłby  
wyleźć dżin, ale nie wyłazi. za to cień kładzie się  
pod nogami coraz dłuższy i węższy jak margines.

instynktownie wyczuwana bliskość celu spowalnia  
krok, opóźniając na siłę dotarcie, przestając się  
nagle liczyć. nikt już nie próbuje wymierzyć proporcji  
pomiędzy przebytym a tym, co pozostaje do przejścia.

## śnieg retrospekcja

spadł znowu śnieg i przykrył. pod drzwiami  
poczty głównej naprzeciw starego kina kolejka  
zmarzniętych czeka na dialog z automatem.  
znowu nie przyszedł na spotkanie, chociaż

to nie on miał być kanwą wiersza, tylko ty.  
przewidziałeś to już wcześniej, wychodząc ze  
mnie jak zza rogu z przepaszającą miną  
przypadkowego przechodnia, zakłopotanego

zaproszeniem na kawę. szybka retrospekcja —  
też był śnieg, też kończyło się, już tylko  
przyśpieszony jak kurs pociągu oddech zdradzał  
obecność. nastały nowe pory roku i nowe

okoliczności łagodzące. tym razem jest inaczej:  
żeton zamarza w fałdzie rękawiczki. nie pamiętam  
numera, pod który należy dzwonić w razie czego.  
opuszczam kolejkę, ku wyraźnej radości tych za mną.

## białystok 22–24 V 1996

Lampa świtu w hotelowym pokoju. Jak w  
każdym takim wierszu, tu też panuje  
względny spokój.

Mucha nie krąży już. Krew wolniej, szum  
spłuczki jak wodospad w skroniach. Jest  
ta konieczna zgoda.

Radio puste w środku. Dociera do nas tylko  
godzina, po sobie samej, przed kolejną tak  
samo przeżyta.

Gościem jest każdy, kto wkrótce wyjedzie.  
Gdzieś i po coś, lub z kimś. Widok zza szyby  
to też jest dobry powód.

Poznać, zaaprobować — to ma sens. Tęgo w  
niektórych więcej jest, w innych mniej. Ale  
poziom się wyrównuje — na wysoki.

## *brynów latem*

wrzące tramwaje wyskakujące jak kluski z gardła  
śródmieścia. jasne tunele, szerokie podmiejskie  
pasaże pod światło. poprawianie włosów na przystanku.

otwarte oczy sklepów, usta kiosków wypływające gazety  
sportowe. kolejka knajp serwujących złudne pocieszenie,  
siłę chwilowo uderzającą do głowy.

park kościuszki z drużyną harcerską na rolkach. schody,  
motel dla niemieckich kierowców ciężarówek. wino. most,  
kuszająca propozycja skrótu.

zgubiony klucz dzwoni w kieszeni — dzyń, dzyń.

## *\*\*\* (wsunięcie delikatnej czarodziej- skiej różdżki nie...)*

wsunięcie delikatnej czarodziejskiej różdżki nie  
załatało powstałych uszkodzeń. łaskotanie krwi  
nadbiegłej w te miejsca, tłoczącej się do wyjścia  
awaryjnego, wprost na fotel, podłogę, fartuch.

zawrotna szybkość w przebiegu umożliwia koniec  
z pamięcią początku. i tak było za wolno, by nie  
odczuć bólu w wymiarze szarpnięcia przy zrywaniu  
plastra, który nie zdążył się dobrze przykleić.

zanim przyschło już zmiana opatrunku na powietrzny,  
całkiem niewidoczny pod bawełną majtek, którą  
stopniowo znów będzie można zamieniać na jedwab.  
myślisz, że nie zajdzie w tobie żadna zmiana, że

zbudzi się sama, wiedząc, że nie ma już nikogo w środku. okazuje się, że nie ma też nikogo obok i że to nie jest chwilowa absencja, choć nikt cię na taki obrót spraw nie przygotował. więc może to i lepiej —

samoistne poronienie. rychło w czas.

## *naruszenie, wiersz wtórny*

gazety donoszą — bartek istnieje, sylwia nie istnieje. myślę o obojgu bez względu na słowa, przeglądając nekrologi na pchlim targu w jakimś obcym mieście.

element przetargowy pozostał zawieszony w próżni, zawieszony jak wyrok śmierci. dziś znów brakuje odwagi, aby go wykonać. postawić na słabszych.

raz jeszcze można zawierzyć gazetom. ich intencje, jeśli już nie metody, są czyste, powszechnie akceptowane. naruszenie odbywa się gdzie indziej, chociaż coraz bliżej.

## *pryzwalanie, odmawianie*

ten pociąg nie mógł chyba odjechać bez mojego błogosławieństwa. ogon kurzu merda jeszcze przez dłuższą chwilę. coś z tego wpada do oka i przelamuje wymuszoną suchość. teraz autozabieg:

czysta chusteczka znieczuła, osłania, odwraca uwagę jak bileter. droga w tę i we w tę tak samo zawiła, skrącana przyzwyczajeniem. coś nie tak z autobusami, czekanie rodzi zamysł reakcji,

ciągnie gdzieś w głąb, do śmierdzącego źródła. osiedlowy zboczeniec pyta, czy chcę się dupić? wykręcam się bokiem, tam pociąg już dojeżdża, tu, teraz, muszę być silna, powiedzieć, że nie.

## *nasz ostatni raz*

kiepskie przyjęcie. goście są jak duchy. tylko w telewizorze nadzieja. błąd w poniedziałkowej sztuce, na szczęście nie do wychwycenia dla laików, jakimi jesteśmy.

żółta skorupka schnie na wymiętym białym prześcieradle.  
wyszędleś — nie wytrzymałeś tempa. szyba lustra  
przeświała mi piersi jak klisze, zakrzywia pustkę.

tym słowem, którego nie chciałeś wypowiedzieć  
zapisalam każdy mały skrawek papieru w twoich  
kieszeniach, nawet bilet. teraz złościsz się  
w pociągu na wspomnienie.

wyrzuciłeś mi, że jestem trupem i osunęłam się  
właśnie w twoje łóżko. że płaczę i rozbieram się  
zamiast wreszcie iść. wtedy nie wzięłam cię  
poważnie, tylko do ust.

## *rozstępy*

przełomy i wyłomy o kant dupy. pozostaje  
niesmak. no przecież sam mówiłeś —  
zmieni się niechybnie, zmieni się już wkrótce.

tymczasem stagnacja zżera energię jak dwustuwatówka,  
bez skrupułów, bo jeśli nic już nie drgnie, nie popłynie,  
na potem będzie tylko tu i teraz —  
to co wtedy?

będziemy pielęgnować stagnację, odwiedzać cmentarz,  
pielic i odchwaszczać z uporem maniaka? albo  
pozwolimy sobie pomóc chociaż nie lubimy takich pomagierów?

na początek zapalmy papierosa. to światło w oddali  
nie może być daleko.

coś się jeszcze wydarzy tej nocy, ścieżki poplączą się,  
buty zamokną. duszna ciemność zamieni się w  
wilgotną mgłę, łzy napłyną do oczu, wódka do szklanek.

w tym stanie rzeczy zachowanie zasad będzie  
niemożliwe — z przyczyn obiektywnych.  
nazajutrz przekażemy sobie znak pokoju.

## *te drugie*

wieczorny wstrząs dla systemu, znów  
bajzel w mózgu jak po fenactilu —  
nie, on się już nie zmieni, zawsze  
już będzie używał półśrodków.

będąc ludźmi czynu, kupmy kawałek  
ziemi i założmy farmę. tylko nie kopmy  
sobie więcej pod nogami, kalecząc ślady  
czyichś ostrożnych kroków.

już nie rzucamy się sobie na szyję  
jak głodny sznur, już tylko dbamy o  
pozorny ład naszych stosunków, jak  
to brzmi, posłuchaj.

a kiedy kładziemy się spać, zawsze mamy  
żał, lecz nie do kogoś, kto  
przecież nam robi to wszystko.

och, ona jest nietykalna.  
bardziej niż umarli.

## *ściółka (sylwia)*

zrobiłam się tak mała, że weszłam w mech, jak  
kobieta w kobietę, dusząc się własnym zapachem.  
byłyśmy dla siebie delikatne.

zastanawiałam się, jeśli to dłużej potrwa, która  
którą przeciągnie, jak sprute oczko swetra, na swoją  
stronę, im szybciej.

to był tylko sen michael stipe śpiewa magnetofon  
zwalnia, widzę zielone niebo i zmarszczki kory, leżę  
w mchu i jestem mchem.

mokry ślad buta na wysokości mostka.

## *telefon milczy albo kłamie*

one of these nights — mam w buzi żwir, który nie  
chce dać się przelknąć. myję zęby, ze szczoteczki  
zostaje wiór, no trudno.

na pożegnanie nie powiedziano sobie nic specjalnie  
odkrywczego, to było jedno ze zwykłych pożegnań,  
z kimś, kto wróci, zanim zdążysz przytyć i wyłysieć.

mimo wszystko niepokój włókł się jak autobus i ten  
żał, że się nie posiada automatycznej sekretarki,  
a przecież nie każdy listonosz dzwoni drugi raz

(znowu nie ma mnie w domu. nie mam mnie w domu  
stanowczo zbyt często i chyba przez to tracę  
coś więcej niż ciepłe posiłki).

tym razem nie zostawiono żadnych wiadomości, mimo  
że obiecywano zawsze dawać cynk. jasne, że nic  
i tak by z tego nie wyszło, więc pewnie lepiej, że  
posiada się przynajmniej kolorowy telewizor



(mężczyzna, którego kroki zrównały się z moimi przy jakiejś ciemnej bramie nawet na mnie nie spojrział, ja też starałam się nie patrzeć).

odjeżdżającym przydałoby się parę ciepłych jak posiłki słów, kilka machnięć, dziecięce „pa, pa” i cmoknięcie w czoło. pozostającym nie pozostaje nic innego, jak tylko zadowolić się szybko, byle czym.

## *unplugged*

tej nocy wszyscy jesteśmy jak wrzucane do ogniska niedopałki. próbujemy znaleźć miarę naszej pojedynczości w melanżu twarzy i sylwetek, nie odnajdując nawet śladu potwierdzającego czyjąkolwiek tożsamość.

skomle we mnie suka oddana w dobre ręce, błądzące właśnie pomiędzy udami. kochałam poprzedniego pana zbyt mocno, by jego nagła zmiana mogła mną nie wstrząsnąć. ale to normalka.

jutro uśmiechnięte kurwy w słonecznych okularach wypną tyłki tarasując poboczne, kiedy pomkniemy zalaną słońcem autostradą szybkiego ruchu. ruchu, który nie zostanie wykonany przez najbliższe dni.

## *wiersz z kluczem*

maleńki zator jak na autostradzie  
odcina dopływ tlenu i jak pechowy płetwonurek  
ma się z głowy.  
cucenie śmierzdzącą watką przytkniętą do nozdrzy  
daje ten efekt, który jeszcze długo  
pozostanie synonimem wynurzenia się.  
piętnaście minut dwadzieścia pięć sekund  
— dokładnie tyle z życia leżąc na kozetce  
i nie dając znaków, tak że musiano się  
w końcu i mną zająć w tłumie pokrzywdzonych  
(najwięcej dzieci, złamań i oparzeń).  
gdzie byłam? czy odpowiadałam na jakieś pytania?  
czy przeprowadzono na mnie eksperyment?  
czy coś się stało, co się nie odstanie?  
i czemu nie widziałam tunelu i światła i nie czułam  
niebiańskiego spokoju?  
dlaczego wszystko musi odbywać się nudno, głupio,  
bez pompy i bez naszej zgody?  
ten punkt — nie znika, on  
daje się złapać.

---

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/podgornik-proby-negocjacji/>

Tekst opracowany na podstawie: Marta Podgórnik, Pięć opakowań, Biuro Literackie, Warszawa 2008.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: Eleonora Albasi@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5229-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).